

I.

W czasach swojej świetności dom musiał imponować - przestronne pokoje, duże okna, wielkie dwuskrzydłowe drzwi, marmurowe kominki... Dziś tylko milionerzy budują z takim przepychem.

Gdyby tak zainwestować w tę ruinę mogłaby zachwycać ludzi przez następne sto lat - pomyślał Grzegorz. Trzeba by władować kupę pieniędzy, kto wie, czy nie więcej niż w budowę nowej willi od podstaw, ale... Właściwie dlaczego nikt wcześniej się tym nie zajął? Dlaczego właściciele pozostawili go na pastwę żywiołów i pozwolili mu spleśnieć? Wielka szkoda.

*

Obejrzał już wszystkie pomieszczenia na parterze i piętrze. Do spenetrowania pozostały tylko piwnice. Drzwi postawiły opór, głośno skrzypiąc na zardzewiałych zawiasach. Drewniane schody prowadzące w dół wyglądały, co najmniej, niepewnie. Stąpał więc ostrożnie, delikatnie, jakby chodził po cienkim lodzie. Kto wie, czy któraś z belek nie przegniła doszczętnie. I kto wie, jak długo by spadał, gdyby któraś pękła. Wyświetlacz komórki dawał słabiotkie, bladoniebieskie światło. Namiastkę światła, ale zawsze takie, niż żadne. Wreszcie schody skończyły się, ale... znalazły się nowe przeszkody. Cała podłoga zalana była wodą i tylko gdzieniegdzie wylańczały się spod niej suche wysepki. Przeskoczył na jedną z nich i chyba tylko cudem ustał na śliskiej podłodze. Dziewiętnastowieczna arystokracja, przy całej swojej rozrzutności, najwyraźniej zapomniała wylać piwnice betonem. Zostawili zwykłe, swojskie klepisko. Już na pierwszy rzut oka piwnice wydawały się duże, pewnie rozpychały się pod całym budynkiem, ale nie sposób było to określić dokładniej przy pomocy takiej "latarki". W zasięgu wzroku miał jedynie grube, betonowe filary podtrzymujące strop. Dalej, za nimi, był tylko gęsty mrok.

Po chwili namysłu postanowił pokonać kolejną kałużę. Wziął niewielki rozpęd - na większy nie pozwalała długość wyspy - i troszkę się przeliczył. Jedna noga wylądowała na suchym, ale druga stopa w wodzie - po kostkę.

Niech to szlag! - Zimna woda prawie natychmiast dostała się do buta.

Szybko stało się to jednak mało istotne, gdy w powietrzu policjant wyczuł dziwny, aczkolwiek doskonale mu znany zapach - obrzydliwy smród śmierci. Znajomość tego aromatu to jedna z tych mrocznych stron pracy w policji.

Pewnie to te przekłete szczury, zagryzione przez koty, rozkładają się gdzieś pod ścianami - pomyślał Grzegorz.

Nie wykluczone też, że odwrotnie - biorąc pod uwagę wielkość szczurów.

Miał już dość zwiedzania. Postanowił wracać. I wtedy po lewej stronie, w głębi, dojrzał ścianę, a na niej jakieś dziwne znaki. Od podłogi, aż pod sam sufit widniały wyraźne, różnej wielkości napisy.

Przedstawiały imiona i nazwiska, albo same inicjały. Wszystkie miały ciemnobrunatny kolor, więc automatycznie pojawiło się przypuszczenie, że nie napisano je farbą. Obstawiał w ciemno, że to krew, ale to raczej nadgorliwość policyjna kazała mu tak myśleć. Równie dobrze mogła to być jednak zwykła, czerwona farba. Śledczy musi mieć nosa, ale nie zawsze musi go używać. W laboratorium zbadają, czy krew, czy nie krew. *Od tego chłopaki mają tam swoje zabawki, żeby wyręczać mój nos.* - stwierdził.

Postanowił zdrapać próbkę ze ściany. Dał sobie już spokój ze skokami i śmiało ruszył w stronę ściany. *Jeden but mokry czy dwa, mała różnica.*

Wyjął z kieszeni, skórzanej kurtki, plastikowy woreczek i scyzoryk. Z łatwością zdrapał odrobinę zabarwionego cementu z kruchej ściany, prosto do torebki, zacisnął zatrzask i schował próbkę do wewnętrznej kieszeni.

Komórka wydała sygnał-ostrzeżenie, że wyczerpuje się bateria. Policjant nie zmartwił się tym szczególnie, bo miał już wszystko, czego chciał. Poza tym miał już serdecznie dość trupiego odoru i szurczego towarzystwa - chociaż zwierzęta te, w sumie, były całkiem miłe i gościnne. Jedne spacerowały spokojnie wzdłuż ścian, inne podchodziły blisko i unosiły do góry noski, badając przybysza. Ale wtedy coś przerwało tą sielankę. Jakiś ruch w kącie, szmer, coś, co szczury dostrzegły pierwsze. Spłoszyły się. Zaczęły piszczeć i biegać jak oszalałe, we wszystkich kierunkach.

Grzegorz uniósł telefon do góry i, świecąc wyświetlaczem, zatoczył półokrąg.

Coś przecież musiało je wystraszyć!

Nie dostrzegł jednak niczego nadzwyczajnego. Uspokoił się i już miał ruszyć w stronę schodów, kiedy z lewej strony jeden z gryzoni wydał pisk tak głośny, jakby wpadł w pułapkę, albo żywcem w ognisko. Policjant skierował tam światło i osłupiał z wrażenia.

Tuż przy ścianie siedział człowiek. *Nie było go chwilę wcześniej. Na pewno.*

Kłęczał twarzą do muru, a prawą ręką przyciskał grube, białe zwierzę do podłogi. Szczur ryczał, wył, płakał niemal jak niemowlę!

Mężczyzna nie zauważył, że nie jest już sam, jeśli to możliwe, bo wówczas musiałby być głuchy i ślepy. Uniósł powoli, spokojnie, jakby nigdy nic, szamoczące się zwierzę do góry. Zatrzymał rękę na wysokości swojej głowy, a następnie, szybkim ruchem, przyciągnął ciało do twarzy.

Rozległ się przeciągły pisk. Po chwili doszły do tego ciche chrupnięcia, a potem zostało już tylko charczenie z rozerwanego gardła.

Grzegorz przełknął ślinę, przełożył telefon do lewej ręki i dobył broni.

- Policja! Nie ruszaj się! - krzyknął, mierząc w plecy wariata.

Dosłyszał. Odjął gryzonia od ust i powoli zaczął wstawać z klęczek.

- Odwróć się, powoli... i nie próbuj żadnych sztuczek!

Jak na złość przeklęta komórka znowu zgasła. Grzegorz, szybkim ruchem przycisnął klawisze lufą pistoletu i znów miał światło. Mężczyzna stał twarzą do niego z zamkniętymi oczami, a krew zwierzęcia, które ciągle trzymał, miarowym strumykiem spływała, po długim ogonie, na podłogę.

- Nie ruszaj się! - krzyknął policjant, zastanawiając się, jak wyciągnąć kajdanki, gdy obie ręce ma się zajęte. - Dasz krok, a strzelę! Przysięgam! - nie żartował. Położył telefon na ziemi i tak szybko, jak się dało, sięgnął po "bransoletki".

Zbyt wolno jednak. Nie zdążył! Światło zgasło. Usłyszał kroki. Upuścił kajdanki na podłogę. Wyciągnął broń przed siebie. W mrok.

- Stój kurwa! - krzyknął. Ale postać szła. Czuł, że jest blisko, tuż tuż, na jeden krok!

Nacisnął spust. Błysk wystrzału ukazał rozrywającą się czaszkę. I krew bryzgającą na...

Zerwał się z łóżka.

Cholerne koszmary! Powinienem wziąć sobie wolne - pomyślał. - Zabrać Kasię na jakieś ciepłe wyspy i

zapomnieć o tym całym bałaganie. Wtedy znikną te... sny.

Spojrzał na duże, czerwone litery elektronicznego budzika stojącego na stoliku nocnym. *Szósta trzydzieści osiem, a ciemno jak w środku nocy. To przez ten deszcz. A zapowiadali dobrą pogodę.*

Wstał z łóżka. Podreptał do łazienki. Zamknął drzwi cicho, żeby nie obudzić swojej dziewczyny i odkręcił wodę pod prysznicem. Miał teraz jakieś pięć minut czasu, żeby się ogolić i umyć zęby. Mniej więcej tyle potrzebował przepływowy bojler elektryczny, żeby nagrzać wodę w natrysku. Kosztował sześćset złotych, a dziś bez zastanowienia "szczęśliwy posiadacz" odsprzedałby go za sześćdziesiąt.

Wrócił do sypialni i włączył małe światło. I wtedy na stole dostrzegł jakąś kartkę. Widniał na niej zaskakujący napis: **"MAM DOŚĆ! ŻEGNAM"**. Spojrzał na łóżko. Po Kasi ani śladu.

Slogan: "Nie lubię poniedziałków" nabrał dla niego, w tym momencie, całkiem nowego wymiaru.

Założył kaburę, ubrał kurtkę i jeszcze raz spojrzał na pożegnalny list. *Nie do wiary, że zdobyła się na taki krok.*

Zmiał niebieski papier i wyrzucił do kosza w kuchni.

Do Komendy Wojewódzkiej z Olszynki było, mniej więcej, dwadzieścia minut drogi - przy małym ruchu, sprzyjających światłach i rajdowych umiejętnościach.

Służbowe auta, w które wyposażono cały piąty zespół wydziału kryminalnego, idealnie nadawały się do takiej jazdy.

Już podstawowa wersja Volkswagena Passata Turbo FSI dysponowała dwustukonnym silnikiem, ale na zlecenie KGP wozy te wzmocniono elektronicznie do dwustupięćdziesięciu koni mechanicznych.

Czy miało to jakiś sens? Niewielki. Niezwykle rzadko zdarzało im się kogokolwiek ścigać. Od tego jest drogówka i inne psy. Ale oczywiście nikt z zespołu nie miał o to pretensji do urzędników z Warszawy. Widocznie mieli akurat dobry dzień i zapomniało im się o dziurze budżetowej. Dzięki temu, pod Komendą Wojewódzką Policji w Gdańsku, pewnego pięknego poranka stanęło pięć, pachnących fabryką, wyścigówek, którymi nie pogardziłby nawet James Bond.

Grzegorz, prawdę mówiąc, oswoił się już z tym autem. Powoli przestawał się nim ekscytować. Wtedy, gdy je otrzymał, stało się jego drugą miłością od pierwszego wejrzenia. Nie całkiem bezpodstawnie Kasia narzekała wtedy, że kocha swój samochód bardziej niż ją. Że częściej o nim mówi, częściej pieści, częściej używa... Tak rzeczywiście było.

Dziś, kiedy Kasia odeszła, a samochód już nie cieszył, jak kiedyś, czuł się samotny jak nigdy dotąd.

Jechał powoli, bo zaparowane szyby nie pozwalały inaczej. Auto toczyło się ospale, wydając niskie, basowe dźwięki z tłumików. Pomyśleć, że jeszcze wczoraj te pomruki uważał za przyjemne.

Padało coraz mocniej, więc to, że zdąży do pracy nie było już takie oczywiste. Przycisnął mocniej pedał

gazu, nie zważając, że prawie nic nie widzi. Dwieście pięćdziesiąt pełnokrwistych rumaków, jak z bicza strzelił, pogalopowało do przodu, zaciągając się łapczywie powietrzem z turbosprężarki.

Odgłos "turbo", nawet w takie dni jak ten powoduje, u każdego mężczyzny, chwile słodkiego zapomnienia.

Odjazd nie trwał jednak długo. Czerwone światło i szlaban przy torach kolejowych zmusiły woźnicę do pociągnięcia za lejce. Zapowiadał się dłuższy postój, bo tymi torami zawsze kursują tylko i wyłącznie pociągi towarowe. Te zaś jeżdżą bardzo wolno i zawsze ciągną za sobą cały różaniec wagonów. Nie raz, nie dwa, zdarzało się Grześkowi je liczyć.

Zanim w ogóle pojawi się pociąg minie ruska minuta. - pomyślał.

Wyjął z kieszeni komórkę. *Rozładowana?! Przecież ładowałem ją wczoraj!*

Telefonu nie dało się nawet włączyć. *Zdechł.*

Nadjechał skład i zaczął wybijać ciężkimi kołami równomierny, monotony rytm.

Wagony przesuwwały się przed przednią szybą niczym klatki czarno-białego filmu. Grzegorz nadałby temu filmowi tytuł: "Why?" - "Dlaczego odeszła? Dokąd odeszła? Na jak długo..."

Miał tyle pytań ile wagonów przed oczami, a odpowiedzi jak na lekarstwo.

To prawda, że nie układało się między nimi najlepiej ostatnio.

Nie kłócili się, nie. Nie o to chodziło. Nie sprzeczali się nawet, nie było łez, pretensji... Było cicho. I w tym właśnie problem. Do kłótni potrzebna jest rozmowa, a do rozmowy - czas. Trzeba być ze sobą - choćby na ten czas sprzeczki - a oni, chociaż mieszkali razem, spoglądali sobie w oczy najwyżej raz w tygodniu.

On wyjeżdżał z domu, kiedy narzeczona jeszcze spała, a wracał, kiedy już spała. Tak, to mógł być powód... Mógł, ale nie musiał.

A może...

Ostatni wagon minął przejazd kolejowy. Czerwone światło zgasło i uniosły się szlabany. Szyba odparowała. Jazda! Jeszcze rzut okiem na deskę rozdzielczą i... znów niespodzianka - zbiornik paliwa suchy. *Na stację...*

Kilometr galopu, kierunkowskaz w lewo na BP. Tankowanie do pełna, faktura.

Na szczęście nie ja płacę za karmienie tej stadniny.

Wreszcie "nakarmione" auto wtoczyło się na dwupasmową ulicę Elbląską, gdzie mogło pokazać, co fabryka dała. Teraz nie było już mowy o oglądaniu billboardów i przepuszczaniu staruszek na pasach. Oficer policji nie powinien się spóźniać, a zdarzało mu się to ostatnio często, zbyt często.

Passat gnał blisko sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, zwalniając nieco na łukach i przed skrzyżowaniami. Kierowca zachowywał resztki zdrowego rozsądku, mimo że życie nie było mu szczególnie miłe od rana. Nie miał już przecież szesnastu lat, żeby odejście dziewczyny pieczętować samobójstwem. Jechał szybko, ale pewnie i bezpiecznie, kiedy... usłyszał sygnał. We wstecznym lusterku mrugnęły niebieskie koguty .

Niech to szlag! Kurwa!

- Dzień dobry. Młodszy aspirant Andrzej Poblócki, proszę zgasić silnik i przygotować dokumenty do kontroli - powiedział, na jednym oddechu, młody policjant. Zajrzał do wnętrza auta, które ciągle pachniało nowością i kusilo sportowymi dodatkami.

- Niezłe autko - stwierdził.- Pewnie szybkie. Za szybkie, jak na miasto, co panie kolego?

- Nie jesteśmy kolegami - rzucił chłodno kierowca, przeszukując kieszenie swojej kurtki i spodni.
- Oj, to będzie dużo kosztować - kalkulował policjant. - Proszę ze mną do radiowozu - dodał.
Grzegorz sięgał właśnie do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyciągnął z niej masę papierków, rachunków i... foliowy woreczek!
- O kurwa! - zaklął, a przeźroczysta torebka spadła mu na kolana, na oczach policjanta.
- O! Aaa toś wpadł bratku - stwierdził funkcjonariusz, przywołując jednocześnie kolegę, który został w radiowozie.
- Wyłaż z auta i nie próbuj uciekać - dodał, nerwowo wyciągając z kabury broń.
Grzegorz zdawał nic sobie nie robić z poczynań policjanta i uważnie przyglądał się zawartości worka pod światło. Znajdował się w nim biały proszek z brunatnymi dodatkami.
- Wysiadaj! - krzyknął mundurowy. Stał jakieś dwa metry od wozu, w szerokim rozkroku i wymachiwał, trzymanym oburącz, pistoletem.
- Ej, spokojnie - odezwał się w końcu Grześ, gdy wyszedł z zamyślenia. Dopiero teraz dostrzegł, jak bardzo poniosło młodzieńca. - To nie są narkotyki. Jestem policjantem! Ten worek to... próbka do analizy - tłumaczył.
- Powoli, spokojnie, bez gwałtownych ruchów! Wysiadaj!
- Chryste - wycedził przez zęby. Zrozumiał, że trafił na jakiegoś nadgorliwego czuba.
Zdarzało mu się już wcześniej bywać "na muszce", jednak nie aż tak często, żeby do tego przywyknąć. Nigdy nie wiadomo, czy młodego policjanta nie poniesie fantazja.

- Mam tu gdzieś odznakę - kontynuował wyjaśnienia, patrząc na wylot lufy i wkładał rękę "powoli, spokojnie, bez gwałtownych ruchów", do wnętrza kurtki.
- Nie ruszaj się! Nie wyciągaj tej ręki! Wyłaż z auta. Ale powoli! - krzyczał młodzieniec, przystępując z nogi na nogę. Coraz dalej odsuwał się od samochodu.
No polebało...

Drugi policjant stał tuż za bagażnikiem Passata i z tej pozycji, w razie czego, zamierzał strzelać w plecy zatrzymanego.
Grzegorz otworzył drzwi ostrożnie, cały czas obserwując lufę pistoletu, i wyszedł, ciągle trzymając rękę pod kurtką.
Policjanci spojrzeli na siebie nie bardzo wiedząc, co dalej.
Podejrzany wyglądał bardzo... podejrzanie - wysoki, barczysty, krótko ostrzyżony...
- Panowie...
- Milcz! Wyciągnij tą rękę. Powoli. Bez gwałtownych ruchów. - Znów mówił młody, a starszemu chyba odjęło głos. - Tylko powolutku - powtórzył.
Zrobił to powoli, jak kazano. Uniósł ramiona do góry i odezwał się:
- A teraz mam obie ręce położyć na samochodzie i kolega mnie obszuka. - Doskonale znał procedury, bo sam kiedyś był zwykłym gliną.
- Obie ręce na dach! - powiedział policjant, dokładnie tak, jak go uczono.
Grześ wykonał polecenie. Starszy policjant schował broń do kabury, przełknął ślinę i powoli ruszył w kierunku zatrzymanego. Młody asekurował go, mierząc podejrzanemu w kark.

- Mam przy sobie broń - odezwał się Grzegorz. - Jestem policjantem i mam broń.
Wolał o tym poinformować gorliwych policjantów już teraz, zanim sami to odkryją. Kto wie, czy nie zaczęliby wówczas strzelać bez dalszych wyjaśnień. Oczywiście zgodnie z przepisami - nie mogliby strzelać. Powinni najpierw wydeklamować "wierszyk" i oddać kilka ślepek w powietrze. No, ale ten młodszy - raptus - mógłby strzelić w tył głowy, ot tak - ostrzegawczo! *Nigdy nie wiadomo...*

- Na ziemię! - krzyknął starszy. - Na ziemię! Twarzą do ziemi!

Grzegorz spojrział pod nogi. W gorszym miejscu chyba nie mogli go zatrzymać. Wzdłuż ulicy płynęła woda deszczowa, czarna jak smoła.

Jako policjant wiedział jednak, że obaj funkcjonariusze postępują dokładnie tak, jak należy. Sam działałby na ich miejscu podobnie. Spora torba narkotyków, to co prawda jeszcze nie powód, żeby tak spanikować jak ten chłopczyk, ale pukawka u zatrzymanego, to już powód.

Położył się więc grzecznie w głębokiej na dwa centymetry, zimnej jak cholera, kałuży. Zmoczył świeżutką koszulę - gwiazdkowy prezent od Kasi. Ręce założył na plecach i czekał aż go skują w kajdanki. Głowę starał się trzymać w powietrzu, tak by nie moczył twarzy.

- No kurwa szybciej! - krzyknął z asfaltu. Zdecydowanie nie podobała mu się ta pozycja.

Zareagowali. Starszy mocno przygniótł leżącego kolanem do asfaltu i dość sprawnie spiął ręce kajdankami. Młodszy trzymał nogi w kostkach. Obmacali go dokładnie.

Znalezionego gnata położyli na dachu Passata i w końcu pozwolili skutemu wstać z błota.

Na chodniku, po obu stronach ulicy, ustawiło się już całkiem spore grono gapiów. Samochody przejeżdżające obok zwalniały prawie do zera, a pasażerowie wyglądali z ich wnętrza, przylepiając nosy do szyb, żeby lepiej widzieć.

- Zamknąć bandytę! - syknęła, przez sztuczne zęby, starsza pani w moherowym berecie. Stała na chodniku tuż za samochodem i machała, groźnie, zamkniętą parasolką.

- Proszę się rozejść. Nie ma tu nic do oglądania - skłamał funkcjonariusz, a następnie zwrócił się do podejrzanego:

- Z policji tak?!

- Tak, z policji.

- Policja nie używa takiej broni, z tego co mi wiadomo, panie kolego. Zresztą nie ważne, porozmawiamy na komisariacie - zakomunikował służbowo i odwrócił się. - Andrzej, pojedziesz jego autem za mną - zwrócił się do kolegi.

- Panowie, chętnie bym się z wami przejechał, ale uwierzcie mi, nie mam czasu. Zaszło tutaj wielkie nieporozumienie. Ja jestem oficerem policji. Pracuję w Komendzie Wojewódzkiej. Pierwszy operacyjno-śledczy zespół do spraw niewykrytych zabójstw. Jednostka specjalna Wydziału Kryminalnego założona w dwa tysiące piątym roku.

Obaj funkcjonariusze patrzeli to na siebie, to na zatrzymanego tak, jakby mówił do nich po chińsku.

- Może coś więcej powie panom nazwa Archiwum X? - dodał. - Dlatego używam broni takiej, jaką lubię. Starszy funkcjonariusz uważnie przyglądał się dokumentom, które wytrząsnął wcześniej z kieszeni podejrzanego.

- Nie ma tu nic, że jest pan policjantem - stwierdził. - W dodatku te narkotyki... Proszę z nam...

- Zaraz - przerwał Grześ. - Skoro nie ma tam odznaki, to powinna być w samochodzie. Młodszy aspirancie, proszę sprawdzić schowek. - Zabrzmiało trochę jak rozkaz i właśnie tak miało zabrzmieć. Nawet policjanci o wyższym stażu mają obowiązek słuchać poleceń oficera elitarniej jednostki.

Młody, jakby trochę się wzburzył, spojrział na starszego, lecz ten kiwnął tylko głową potwierdzająco i aspirant wykonał posłusznie podwójny rozkaz.

Po chwili wyszedł z Volkswagena z odznaką w ręce i podał ją starszemu.

Ten dłuższą chwilę przyglądał się znalezisku z każdej strony i w końcu odrzekł:

- I tak pojedzie pan z nami. Może być fałszywa. Takie same można kupić na bazarze na Przymorzu. Prosz...

- Orz kurwa! Poproszę panów o personalia. Obu! - W sumie wiedział, że funkcjonariusze przykładowie wypełniają wszystko, co do nich należy i nie mógłby im zaszkodzić. To znaczy nie, że by nie mógł, bo gdyby chciał, to całkiem łatwo pozbawiłby ich nawet pracy - dzięki znajomościom - ale nie mógł, bo tego nie chciał. Aż taką świnia nie był.

Ale zastraszyć nie zaszkodzi. - pomyślał. Tego już dawno nauczyły go rozmowy z przestępcami.

Mundurowi patrzyli na siebie i milczeli. Mieli obowiązek przedstawić się na podobną prośbę.

- Młodszy aspirant Andrzej Pobłocki, tak? - zapytał i wiedział, że tak. Pamięć miał doskonałą. Gdyby było inaczej nadal pracowałby w prewencji.

- W jakim komisariacie panowie służą?

Milczeli.

- Posłuchajcie. Mogę wam pomóc, albo zaszkodzić - kontynuował. - I wiecie co zrobię?

Cisza..

- Pomogę wam. Pomimo, że mam chujowy dzień, bo dzięki wam wyglądam jak pierdolony szczur! - krzyknął, aż młodszy aspirant podskoczył. - Dam wam radę: Macie mój dowód osobisty i odznakę, a w radiowozie macie radio... Proszę z niego skorzystać. Natychmiast! Połączycie się z Komendą Wojewódzką i poprosicie nadkomisarza Jana Łukowicza. Kiedy już upewnicie się, że jestem tym, kim mówię, że jestem, wytłumaczycie mu, dlaczego jeszcze nie jestem w pracy. Przepraszacie go za to, dodając jak bardzo wam wstyd. Wykonać!

Policjantów zaskoczyło to. Wyglądali jak posągi betonowe.

Dopiero po dłuższej chwili starszy poruszył się, skinął do kolegi głową porozumiewawczo i podał mu dokumenty.

W policyjnym Fordzie Mondeo zatrzeszczało radio. Rozmowy jednak nie dało się dosłyszeć przy hałasie, przejeżdżających dwupasmową ulicą, samochodów.

Zatrzymany i starszy funkcjonariusz stali naprzeciwko siebie. Milczeli.

Grzegorz opierał się plecami o samochód. Patrzył na swoje spodnie i kręcił głową, i niedowierzał. Z koszuli ściekała na nie brązowa, jak gówno, woda.

Wtedy mundurowy postanowił przerwać krępujące go milczenie:

- Kobieta wypierze - pocieszył i uśmiechnął się najpiękniej, jak potrafił, w tak niezręcznej sytuacji.

Cokolwiek by w tym momencie nie powiedział, nie byłoby bardziej nie na miejscu niż wspomnianie o kobietach.

Grześ poczuł jak woda spływa mu w krok.

No kurwa! Powiedz jeszcze słowo, a nie masz pracy!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

valdens, dodano 04.08.2007 06:54

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.